

W rozmowach najważniejsze jest to, żeby słuchać, a nie pytać

Z Grzegorzem Miecugowem rozmawiał Konrad Stanglewicz 19 lutego br. podczas spotkania w WiMBP im. C. Norwida

– Grzegorza Miecugowa przedstawiać nie trzeba, znają go Państwo z książek, przede wszystkim z telewizyjnego, a także filmowego ekranu.

– Tak, zagrałem. Były to moje pierwsze zarobione pieniądze w życiu. Miałem 11 lat, mama ubrała mnie w sztruksowy garnitur. Miałem przebiec przez krakowski rynek, płosząc gołębie. Byłem drugoplanowym bohaterem jakiegoś kanadyjskiego filmu dokumentalnego. Dostałem wtedy 70 złotych. Był 1966 rok i wtedy 70 złotych to były naprawdę spore pieniądze. Potem zagrałem u Machulskiego, ale ta część, którą zagrałem, spaliła się. Nie miałem czasu, by zagrać dubel, więc zagrał Sianecki. Tomasz Sianecki spotkał kiedyś Machulskiego na korytarzu Trójki i pyta: „A pamięta mnie pan jeszcze?”. A Machulski mówi: „Swoich aktorów nigdy nie zapominam”. Tomek wspomina też, że wymieniany jest w liście ukazującej się po filmie, a to był film *VIP...*

[...]

– Często rozpoczyna Pan rozmowy od sprecyzowania zawodu swego rozmówcy. Zadam więc to samo pytanie. Kim Pan jest z zawodu?

– Dziennikarzem. To pojęcie jest nadużywane dlatego, że u nas w stacji dziennikarzem nazywa się każdego, kto nie ma własnego zawodu, czyli nie jest operatorem kamery, realizatorem dźwięku albo realizatorem wizji. Nie jest dziennikarzem mój student, który na polecenie wydawcy wycina „setkę” z rozmowy z gościem, który był przed chwilą. Dziennikarz to człowiek, który potrafi przejść kilka kroków.

Pierwszy to umiejętność słuchania. Dziennikarstwo jest pewną usługą, a co za tym idzie, powinniśmy wiedzieć, co ludzi interesuje. Kolejny krok, to zdolność zadawania pytań, a więc wiedzieć kogo pytać. To są proste kroki. Następnymi etapami, już bardziej skomplikowanymi są: zrozumienie istoty problemu oraz wy tłumaczenie go. Tłumaczyć można w różny sposób, na przykład: pisząc felieton, rozmawiając, robiąc materiał do radia czy telewizji. Natomiast wydaje mi się, że grupa dziennikarzy kurczy się dlatego, że epoka Internetu zabija dziennikarstwo, a także odbiorcy nie mają zapotrzebowania na dziennikarzy. Udowodnię to, przytaczając przykład „Polityki”, która dzisiaj sprzedaje zapewne ok. 130 tys. egzemplarzy, a jeszcze 10 lat temu sprzedawała pół miliona.

– Choć i tak jest ciągle na czele tygodników opinii...

– Jest ciągle otwierającą listę tygodników opinii, ale widać na każdym kroku, jak w 38-milionowym narodzie zniknęła potrzeba komentarza, reportażu. Zielona Góra jest chyba stolicą polskiego reportażu radiowego. Są tu wspaniali reportażyści.

– Pytałem o zawód nie bez kozery...

– ...zawód ma dwa znaczenia (śmiejch).

– Tak. Swego czasu Ryszard Kapuściński wypowiedział się podobnie, konstatując, że ten prawdziwy dziennikarski fach zanika, a zastępuje, wypiera go fach zwany z angielskiego „media worker”, czyli człowiek usługowy, który jednego dnia zapowiada program...

– ...nawet nie. Nie wiem, czy państwo zauważyli na przykład, że Onet, największy polski portal internetowy, od dwóch lat specjalizuje się w zagadkowych tytułach. Widziałem taki tytuł wiadomości: „Kłopoty byłego prezydenta”. I nie wiemy, o kogo chodzi. O Kwaśniewskiego? Trzeba kliknąć. Okazuje się, że chodzi o prezydenta Bydgoszczy. Albo inny przykład tytułu: „Kaczyńskiemu tego nie wybaczę”. Nie wiemy, kto to powiedział, czego nie wybaczy? Klikamy więc. Dlaczego stosuje się takie metody? Dlatego że liczba kliknięć stanowi o wartości dziennikarza internetowego. I normalny dziennikarz internetowy, jeśli by napisał po bózemu, czyli w pierwszym zdaniu, że prezydent Bydgoszczy ma kłopoty, to pewnie mieliby mniej kliknięć, niż jeżeli napisze zagadkowo. A jak ma mniej kliknięć, to liczy się mniej od tego pracownika Onetu, który tuż obok w rubryce pisze o tym, w które dni tygodnia najlepiej się podrywa, prawda? I to jest kłopot dla dziennikarzy informacyjnych, którzy są marginalizowani przez to, że mają coraz mniej kliknięć. Dla dziennikarzy takich jak np. Sekielski czy Morozowski, którzy znikają z „dużej anteny”, to również problem. A znikają, bo widzowie ich nie chcą oglądać. Wynika z tego, że ludzie wykazują coraz mniej zainteresowania tym, co się dzieje. Powody tego są bardzo różne, np. program *Teraz My* znika także dlatego, że ludzie mają coraz mniejszą ochotę oglądać polityków. Dzieje się tak, ponieważ z dużą dozą pewności można powiedzieć, jak będzie wyglądała rozmowa, jeżeli zaprosimy polityka z PiS-u i z PO. Jeden będzie mówił – „białe”, drugi – „czarne”. I odwrotnie. Oni są więc już do bólu przewidywalni. Media workerzy to tacy ludzie, którzy dają proste sygnały, przekazują prostą informację, streszczają PAP czy przyjmą filmik np. o panu wędkarzu, który płynie krą, by potem go opatrzyć komentarzem. To też jest bardzo ciekawe i świadczy o tym, że czas się zmienia, bo każdy ma przy sobie środek do nagrywania obrazków. Ale to nie jest dziennikarstwo klasyczne, w takim rozumieniu, że drąży się każdą sprawę, rozmawia z wybranymi osobami, by następnie to opisać. Albo pojechać w teren, nagrać, montować tygodniami i potem nadać reportaż w radiu. To było dziennikarstwo absorbujące, dziś jest dziennikarstwo pospieszne. I media workerzy służą właściwie tylko do przekazywania...

– To jest proces nieuchronny? Da się go zatrzymać, odwrócić?

– To jest proces nieuchronny, lecz widać światło w tunelu. To rozpadanie się środowiska na mniejsze podmioty. Opowiem anegdotę. Mam znajomych, którzy wyrzucili telewizor w 2001 roku, uznając, że dla nich nie ma nic w telewizji. [...] Jest też pewna nadzieja, [...] zrozumiałem to w październiku 2008 roku, kiedy wróciłem do domu, jakoś wyjątkowo wcześniej, koło 17.00. Nie było nikogo, uruchomiłem Internet, bo w domu nie oglądałem telewizji. Internet zawiesił się. Jestem trochę mały z odwieszaniem, znam tylko taki „wyrafinowany” sposób, że routera wyłączę się z prądu na minutę i włączę z powrotem, tak zwany restart. Ale nie udało się. Syna nie było, na Błękitną Linie nie zadzwonię, bo nie lubię się denerwować. I z tego wszystkiego, z tej rozpaczki wyłączyłem telewizor. Zacząłem sprawdzać 600 programów. W którymś momencie coś mnie zastanowiło – myślałem, że oglądałem jakieś zdjęcie, ale na zboczach górskim poruszyło się żdźbło. Zaintrygowało mnie, że to jest transmisja, ale czego? To zboczce górskie było pokazywane na przemian z dwóch kamer przez ponad 3 minuty, potem zniknęło. Pojawił się kolejny obraz doliny zamkniętej łańcuchem górskim, było dosyć ciemno. Na pierwszym planie dosyć blisko stado koni, z 60 sztuk. Młode, stare, duże, małe. Prychają, tupią, jak to konie. I pojawił się napis na obrazkach: „4:58”. Dalej nie wiedziałem, o co chodzi. Ale pomyślałem, że chyba w pilocie jest przycisk, który pozwala sprawdzić to, co się ogląda. Okazało się, że oglądałem program *Wschody słońca*. Pomyślałem, że to kapitalny program, przez 6 minut nic się nie dzieje. Zostałem fanem tego programu. Potem już zacząłem go szukać. I natychmiast zadzwoniłem do moich znajomych, którzy wyrzucili telewizor i mówię do nich: „Kochani, mam dla was informację, możecie kupić telewizor, już coś znajdziecie. No nie ma siły, jak ja coś znalazłem, to wy też znajdziecie”. Także to jest ta dobra strona, że gdzieś to dziennikarstwo przykucnie w jakimś takim kanale... (śmiech). *Wschody słońca*...

– Do wschodów słońca wystarczy dobry operator...

– Tak, ale stworzyć takie superważne wiadomości, kanał... To jest także kulturowo bardzo ciekawe, dlatego że jeżeli 20 lat temu mieliśmy do dyspozycji dwa programy, to siłą rzeczy, jeśli poszedł jakiś serial, to wszyscy wiedzieli następnego dnia, o czym się mówi. A ja wczoraj podszedłem do dwóch koleżanek, one rozmawiały o doktorze Housie. Nie mam

zielonego pojęcia, o czym one mówią. Kto to jest dr House? Popatrzyły na mnie jak na raroga, bo owszem, można nie oglądać, ale nie wiedzieć w ogóle? Więc wytłumaczyły mi, że to jest o jakimś doktorze z Ameryki, z serialu.

– **Szef programowy telewizji, jednej z potężniejszych telewizji w Polsce nie wie, co to jest Dr House?**

– No tak, ale jestem zastępcą szefa programowego.

– **Walter wie o tym?**

– Walter wie wszystko (śmiech). Tak naprawdę jestem tylko tytularnie tym zastępcą szefa programowego. Czuję się raczej Jokerem niż dyrektorem, to znaczy mogę wskoczyć na antenę w dowolnej sprawie i w dowolnym momencie.

– **Panie redaktorze, dlaczego łamie Pan prawo?**

– Pewnie jest to przyjemne w jakiś sposób.

– **I publicznie się Pan do tego przyznaje, wobec młodzieży.**

– Na przykład?

– **A proszę bardzo, są dowody. [...] Fragment z „Gazety Lubuskiej”: „Płaci Pan abonament za telewizję publiczną? Grzegorz Miecugow: Nie, bo uważam, że telewizja nie spełnia swojej misji, że te pieniądze są niewłaściwie wykorzystywane”.**

– A w innym wywiadzie powiedziałem, że gdybym wiedział, jak zapłacić tylko na radio, to bym płacił. Nie ma najmniejszej możliwości, że wpłacę pieniądze, mówiąc, że to jest na radio, i one trafią do radia. Niestety. Pojawiła się jakaś szansa, gdy Trójka zaczęła zbierać pieniądze na boku. Bardzo współczuję radiowcom...

– **To upokarzające.**

– Tak, upokarzające. Bardzo żałuję, współczuję moim kolegom z radia, z Radia Zachód też.

– **Zaczynał Pan redaktor jeszcze za czasów ancien régime jako dziennikarz. Zostało coś z tamtego dziennikarstwa dzisiaj?**

– Miałem dziwny początek. Trafiłem do radia w lutym 1980 roku. Znajoma mi powiedziała, że szukają jakichś ludzi, a ja byłem bez pracy. Poszedłem, od razu oblałem egzamin na kartę mikrofonową, ale nie przejąłem się tym specjalnie. Byłem w redakcji kulturalnej. Tam zdarzyło mi się przeżyć wywiad, który mnie dużo nauczył, zapamiętałem to doświadczenie na całe życie. Pojechałem na

spotkanie z panem o nazwisku Fałata, nazwisko nieprzypadkowe, on był szefem galerii, potomkiem słynnego Fałata. Bardzo się przygotowałem. Napisałem sobie 12 pytań na kartce, zadałem je w kolejności zapisanej. Nie słuchałem w ogóle odpowiedzi, dlatego że koncentrowałem się na następnym pytaniu. Tym bardziej że nie miałem karty mikrofonowej, więc musiałem się spieszyć. Z zaskoczenia przywiozłem to do stacji i koleżanka miała mi pomóc zmontować. Chwytała się za głowę, ponieważ odpowiedź na pytanie szóste padła w pierwszej minucie naszej, pozał się Boże, rozmowy. To mnie nauczyło, że w rozmowach najważniejsze jest to, żeby słuchać, a nie pytać. Natomiast wszyscy dali mi w kość, ponieważ byłem tam protegowany. Na przykład zmusili mnie do pójścia na kilka tygodni do redakcji rolnej. Tam nic nie robiłem, żadnych nagrań. Do moich zadań należało koło jedenastej skoczyć po wódkę (śmiech). Czy może o trzynastej? W każdym razie miałem jakąś określoną godzinę. Pamiętam tylko, że 156 złotych kosztował jarzębiak... Gustowali w jarzębiaku...

– **Dopuszczali do konfidencji?**

– Nie, to były takie opisy straszne, że naprawdę... I potem stał się nagle cud, ponieważ wybuchła Solidarność. Trafiłem do redakcji informacyjnej, zacząłem w wolnym kraju, w wolnej redakcji biegać z mikrofonem po mieście. Moim szefem był Wiesław Johann. I pokochałem to. Pokochałem to miłością czystą, choć nie była ona odwzajemniona, dlatego że po 16 miesiącach nastąpił stan wojenny. Następnie, jak wróciłem do pracy dziennikarskiej, w połowie 1984 roku, pracowałem w redakcji dla dzieci. Pisałem słuchowiska. Dwa poszły. Notabene, przyszyły mi na konto ostatnio jakieś pieniądze z ZAiKS-u. Zadzwoiłem do ZAiKS-u i pytam: „Powiedzcie mi, za co?”. A oni mówią: „Gość z Pociąsek”. To jedno z tych słuchowisk, które napisałem w stanie wojennym o krasnoludkach. I podobno szło w Jedyńce. Bardzo śmiesznie musi brzmieć teraz, że to słuchowisko Grzegorza Miecugowa. A do dziennikarstwa informacyjnego wróciłem w lutym 1987 roku, kiedy to nagle ni stąd, ni zowąd Trójka zaproponowała mi przejście do *Zapraszamy do Trójki* i zgodziłem się.

– **I co? Żal tej Trójki?**

– Oj, żal, że ona już nie jest taka, jak była. Nic nie będzie takie, jak było. Zmiana jest wpisana w nasze życie po prostu. Natomiast żal, bo mają tam

funkcjonariusza partyjnego jako dyrektora i założyli związek zawodowy, żeby się bronić i walczyć.

– I bronią się?

– Jest jakaś nadzieja. Mam ogromny żal do PO, gdyż zaniechała reformy i nie spełniła obietnicy, którą dała również mnie, że idzie do władzy po to, żeby nam, obywatelom oddać media publiczne. Za to mam żal. I mam nadzieję, że PO nie wytrzyma tego, że PiS ma telewizję i spróbuje przeforsować czy też poprzeć ten projekt, który piszą artyści, m.in. Jacek Żakowski czy Agnieszka Holland. Może się uda. W roku wyborczym to różne cuda się zdarzają, dlatego i politycy chcą pokazać, jacy są dla nas dobrzy i mili.

– [...] Szkoła kontaktowa to program popularyzacyjny, ale i wywołujący kontrowersje. Polacy są tacy malkontentni, marudni, lubią to. Zdaje się, że to jest jakiś rys charakteru, a wy otwieracie im furtkę w tym programie i pogłębianie tę skłonność do polskiego narzekactwa. Nie macie wyrzutów sumienia?

– Jest jeszcze gorzej, ten program wielu zna z frustracji (śmiech). [...] Po prostu wszyscy byli zmuszeni oszustwem Lewicy, oszustwem to może nawet za dużo powiedziane, takim niedotrzymaniem obietnicy. Lewica przekonywała, bodajże w 2003 roku, że jest sens skrócenia kadencji i zrobienia wyborów na wiosnę 2005 roku. Pod koniec 2004 było jednak wiadomo, że wybory będą w normalnym terminie, a już nie rządził Miller, tylko Belka. Hausner nie był w stanie przeprowadzić swojego planu i zreformować finanse państwa. Wszyscy mówili: „Szkoda czasu, przecież idzie PO-PiS, nasi dzielni ratownicy, którzy wyciągną kraj z kłopotu i posprzątają, pozamiatają”. Adam Pieczyński powiedział wtedy: „Słuchaj, ludzie są tak zmartwieni tym wszystkim, tacy sfrustrowani, że może zrobimy program, który pomoże im położyć się z lekkim sercem i uśmiechem”. Odpowiedziałem: „No dobra, spróbujmy”. I tak program chodził wtedy przez 25 minut. Dobrnęliśmy do wyborów. Poważnie myślałem, że to jest koniec programu, gdyż miała nastąpić epoka powszechnej szczęśliwości. No i wtedy zaczęła się awantura PO-PiS, która trwa do tej pory i wypełnia sobą szalenie scenę polityczną. Słyszałem nawet taki żart: Najczarniejszy sen premiera Tuska? Budzi się rano, patrzy – PiS uciekł za granicę (śmiech). Oni by wtedy stracili rację bytu, jakby PiS zniknął. I odwrotnie. Można by powiedzieć – najczarniejszy sen Ka-

czyńskiego? Budzi się, patrzy, PO uciekło na Księżyc. Rzeczywiście trochę tak jest. Życie polityczne nie nas- traja optymistycznie. [...]

– Ale my – dziennikarze trochę pomagamy politykom. Gdyby nie zapraszano tych mądrali, to oni nie mieliby okazji do publicznych napa- rzanek.

– Tak, ale na przykład Nelly Rokita podnosi oglądalność. Gdy Lepper miał kłopoty z aferą grun- tową i zbliżały się wybory (te czasy czterdziestego piętra hotelu Marriott itd.), to robił dwie konferencje dziennie, na każdej konferencji oglądalność znacznie rosła. Jeżeli mamy do wyboru polityka, który generuje wyższą oglądalność, chce być oglądany, to mamy właściwie obowiązek go pokazywać, niestety. [...] Natomiast staramy się czasami dawać rzeczy, które nie generują wielkiej widowni. Tak na przykład panią Fikus oglądało 200 tysięcy osób, co jest całkiem niezłym wynikiem.

– Pytanie z widowni: Dlaczego, zwłaszcza w ostatnim czasie, trwa festiwal występów dinozaurów z SLD, takich jak Oleksy, Miller, Kalisz?

– Powiem tak: nie rozmawiam z tymi politykami od...

– Czasami rano?

– Nie, już nie. Zdjąłem ten program *Gość Poranny* dlatego, że w październiku lub na początku listopada dowiedziałem się, że podział PO-PiS obowiązuje także w sprawie stosunku do szczepio- nek na grypę. I powiedziałem sobie: basta! Podział w sprawie szczepionek powinien być merytoryczny, niepolityczny, dlatego że są ludzie, którzy nie chorują (tak jak ja) i nie będą się szczepili, bo nie widzą powodu. I są ludzie, którzy mają skłonność do grypy, oni niech się szczepią.

– To jest prywatny bojkot polityków?

– Nie jest prywatny. Powiedziałem Adamowi Pieczyńskiemu: „Adam, straciłem ciekawość. Po co mam zapraszać polityka, skoro wiem, co on odpo- wie?”. Jest 10% polityków, którzy nie we wszystkim mnie zaskoczą, ale wiem, że czasem zaskoczą. Ale niektórzy z nich to albo nie są już politykami, albo są na marginesie z różnych innych przyczyn, jak Piesiewicz, albo są ludźmi przytulonymi tylko do polityki. Natomiast ci najczęściej zapraszani politycy nie mają nic od siebie do powiedzenia. Oni zostali zwasalizowani, czyli mówią tak, jak partia karze. A akurat Oleksy tak nie mówi.

– **A Miller?**

– Miller także ma swoje zdanie...

– **Cięte riposty...**

– W żaden sposób nie jest zależny od Napierskiego. I nie wiem, czy to zdziwi, ale ja wiem, że paleta występujących polityków w telewizji jest bardzo wąska. To jest pięćdziesiąt osób góra. Przecież bez przerwy widzimy Nowaka. Ja też miałem problem, chcąc zaprosić gościa na rano, okazało się, że wczoraj był w *Magazynie*, albo jutro będzie, albo dziś wieczorem. Przecież *Magazyn* też zniknął, ponieważ ludzie przestali chcieć oglądać tych samych ludzi, którzy opowiadają te same rzeczy.

– **Gest senatora Romaszewskiego jest wart pochwały, szacunku?**

– Jak najbardziej. Ja nie muszę się zgadzać z senatorem Romaszewskim, ale szanuję go, kiedy mówi: ja nie jestem od stawiania po kątach. Mam swoją historię i nikt mnie nie będzie zawieszał, nie przeczytawszy nawet aktu oskarżenia prokuratury w sprawie Piesiewiczca.

– **Zabiegaliście o jego obecność, o wywiad z nim?**

– Zabiegałem.

– **I co?**

– Nie udało się. Bardzo lubię pana senatora. Ktoś mi powiedział, że jeśli senator ma znów pojawić się w mediach, to powinien porozmawiać ze mną. Ale uprzedził mnie, potem jakoś nie zabiegałem, Hołownia zabiegał. I zrobił z Piesiewiczem krótki, bardzo bolesny wywiad. Dla mnie również bolesny, dlatego że zobaczyłem zaszczutego, starszego pana, który spotkał się ze złem w czystej postaci.

– **Cholernie trudna rozmowa, także dla dziennikarza. Jak rozmawiać z kimś, dowiedzieć się jak najwięcej, jednocześnie jeszcze raz go nie skaleczyć?**

– Ta rozmowa możliwa jest tylko wtedy, jeżeli rozmówca chce powrócić do życia publicznego, czego bardzo bym sobie życzył, bo niezależnie od tego, co się stało, uważam, że ma dużo mądrych rzeczy do powiedzenia. Natomiast moim zdaniem, on nie wróci.

[...]

– **Pytanie z widowni: Jakiego rozmówcy Pan oczekuje?**

– Zdarzyło się tak, że byłem umówiony z profesorem Kołakowskim, to było 4 lata temu. Profesor

najlepiej mówił, jak chodził, więc miał to być wywiad chodzony. Mieliśmy go zrobić w Oxfordzie, spodobała mi się ta myśl: spacerujemy sobie po czworoboku, w każdym z tych czterech rogów stoi kamera, jesteśmy podpięci bezprzewodowo, tak że zawsze któraś kamera nas bierze. Rozmawiamy, powiedzmy godzinę. Profesor zachorował, potem już nigdy nie udało się ponownie zmontować. Żałuję więc takich wywiadów, których nie zrobiłem. Na pierwszej liście, parę lat temu miałem Jeremiego Przyborę. Nie udało się. Dwa miesiące po zaczęciu tego programu, pan Jeremi zmarł. Tak samo było z Holoubkiem. Jest długa lista osób, z którymi już nigdy nie zrobię wywiadu. Natomiast od wielu lat próbuję namówić na rozmowę panią Ewę Demarczyk. Potrafiła mi przez 45 minut opowiadać, jak jest jej ciężko w życiu dziś, jak nie może dać sobie rady ze swoim otoczeniem i z różnymi sprawami, że jej nikt nie pozwala tego powiedzieć, więc mówię: „Pani Ewo, na miłość boską, rozmawiamy 45 minut i to ja chcę, żeby pani to opowiedziała”. Na to pani Ewa: „Nie, nie, jeszcze nie jestem gotowa”. I tak mijają lata. Poza tym, ostatnio usłyszałem wypowiedź w radiu pana, który nazywa się Moskalik. Jest profesorem, zajmuje się gwiazdami i chyba go zaproszę, dlatego że tak pięknie mówił o gwiazdach i o przestrzeni kosmicznej, że chciałybym z nim porozmawiać. Notuję sobie nazwiska często ludzi nieznanymi zupełnie. Chciałem zrobić wywiad z młodym artystą, który nazywa się Czesław Śpiewa, Czesław Mozil, inaczej mówiąc. Poznałem go gdzieś, jest bardzo zapracowany. Okazało się, że w środę nie może. Mam zaproszonego na marzec profesora Szczeklika, który jest onkologiem i potrafi pięknie mówić o zdrowiu, może uda mi się go przełożyć. Teraz więc szukam wśród naukowców i artystów. W najbliższą niedzielę będzie Kasia Nosowska, bardzo fajna dziewczyna.

[...]

– **Pytanie z widowni: Jeszcze odnośnie obsady *Szklą kontaktowego*. Sugerowano zmiany w programie, ale jeżeli nie jest to na razie mile widziane, może zrobić jeden dzień z gościem specjalnym?**

– Zauważyliśmy, że nasi widzowie bardzo źle znoszą zmiany, każda zmiana sygnału budzi sprzeciw. Programy, które są specjalnie w innej konwencji, generalnie nie podobają się.

– **A ten z Zielonej Góry?**

– Te wyjazdowe? One są w konwencji podobne, właściwie zmienia się tylko scenografia. Programy z Zielonej Góry były dobrze przyjęte, bo Zielona Góra jest fajna. Stąd zrobiliśmy cztery *Szka*... Są dwa miasta w Polsce, z których poszły po cztery *Szka*... Jedno to Legnica, drugie Zielona Góra. Czyli w czołówce,

że tak powiem. Legnica jest satyrykonem, tylko tam jest trudniej niż tutaj. Korzystamy z imprez, gdzie można zaprosić zupełnie innych gości, czyli np. artystów czy rysowników, jak w Legnicy. A tam już w drugi dzień nie ma kogo zapraszać i to jest kłopot. Tu zawsze jest kogo zaprosić, bo to jest zagłębie kabaretowe, jak wiadomo.

